

RELACJA

Danuty Halsey

nagrana 2.06.93 w Londynie przez Tomasza Gleba

[do tematów: deportacje, emigracja londyńska]

[Danuta Halsey, z domu Skapska, ur. we Lwowie 3.01.1926, zam. w Londynie]

Moi rodzice zmarli przed wojną na gruźlicę i wychowywałam się u wujka w Warszawie, który był oficerem w Ministerstwie Spraw Wojskowych. Później, w czasie wojny ministerstwo ewakuowało powołał, ja z ciotką zostałam we Lwowie, bo we Lwowie rodzina była. I zapisałyśmy się na powrót do Warszawy, dostałyśmy bilety, ale innym ludziom ziemia pod nogami się paliła, więc oddałyśmy je, a zapisałyśmy się znowu. 30 czerwca 1940 roku w nocy zapukano do drzwi dwóch żołnierzy z karabinami:

– Zbierać się.

Załadowali nas we Lwowie na dworcu – głównym, mnie się zdaje – ale pociąg był tak długi, że odłączyli dwa wagony od lwowskiego transportu i dołączyli do transportu z małych miasteczek. A stamtąd byli przeważnie Żydzi. Wieźli nas pociągiem do Irkucka, z Irkucka Angarą barkami, przez góry (teraz tam jest pociąg, ale wtedy [jechało się] ciężarówkami), Leną znowu i dopływem Leny – Witimem – do Bodajbo. Tam była kopalnia złota. Tam ludzi rozrzućili: część poszła do lasu na wyręb, a część dostała się do kopalni. Najpierw rzucili nas 500 osób do starej wioski, rozwalonej, już nie zamieszkałej. Tam byliśmy do zimy. W zimie wybudowali dla nas baraki w wiosce, już 15 kilometrów bliżej stacji kolejowej. Ludzie pracowali w kopalniach, tam dawniej były koncesje angielskie w tych kopalniach, Anglicy odeszli w 1923 czy w 1929 roku i to wszystko zniszczyli. Oni teraz rozkopywali znów, bo Anglicy, jak już im się czas kończył, to szli tylko po głównej żyłę, wykopywali tylko najbogatsze [złoża]. Później to zawalili, ale jeszcze było złoto.

Pracowałam trochę na budowie i na kopalni. Później, jak się z aliantami pogodzili, przyjechał nawet do nas jakiś pan z wojska przedstawiciel, ale stamtąd nie można było nikogo wydostać, bo było za daleko. W maju kra jeszcze płynęła po wodzie, a we wrześniu już, więc kto nie uciekł, nie wyjechał w lecie, to w zimie mowy nie było, niedźwiedzie by zjadły czy zapadł by się w śniegu. Więc nikt nie uciekał, tylko dwóch czy trzech młodych chłopców na nartach uciekło, później ich we Włoszech spotkałam, jeden wrócił do Warszawy, drugi na Zaolzie. Jeden był taksówkarzem z Warszawy; pamiętam nazwisko **Martynek**, on był z Zaolzia.

Nie dało się uciec, ale z ciotką dostałyśmy paszporty. Wujek gdzieś poznał się z Australijczykami i paszporty polskie dorobione w Dublinie (mnie się zdaje, że były z Dublina), polskie paszporty z orzełkiem i wizę wjazdową do Palestyny. Ale w międzyczasie minął termin ważności wizen wyjazdowej rosyjskiej – poszli do Moskwy po wizę rosyjską wjazdową.

We wrześniu przyszły jakieś pieniądze, dość, żeby przekupić kapitana takiego stateczku czy barki – wyjechałyśmy do Irkucka. W Irkucku zgłosiłyśmy się do NKWD, już była nasza teczka, nasze papiery. Ale ponieważ Irkuck był miastem drugiej klasy (pierwsza klasa to Moskwa, Leningrad) i nie wszystkim wolno było tam mieszkać – kazali nam wyjechać 400 kilometrów na zachód, wzdłuż kolei transsyberyjskiej: **Tułun**, tam było polskie środowisko.

To trwało do 1944 roku. W lipcu przyszły papiery, przyszła wiza, ale musiałyśmy jechać jeszcze do Moskwy – wizen angielskie wyszły [skończyła się ważność wizen

angielskich?]. Pojechaliśmy. już jako prywatne osoby, do Moskwy, znaleźliśmy jakimś cudem Anglików i Australijczyków. Australijczycy dali nam jeszcze pieniędzy, a w angielskim konsulacie pan konsul, nazywał się mister Bastock (później zdaje się był nawet ambasadorem) chciał ze mną rozmówkę mieć. Pytał o różne rzeczy — z tamtych stron nie dochodziły żadne wiadomości, myśmy widziały całe transporty Niemców, na wschód wieźli, wieźli, transport za transportem. Jak skończyła się rozmowa, otworzył biurko i wyciągnął trzy czy cztery puszki konserwy. Wzięłam, a jakżeż.

Wyjechaliśmy z Moskwy przez Rostów, Baku, Tyflis, przez tę placówkę, którą szła pomoc do Rosji amerykańska i angielska.

Przyjechaliśmy do Teheranu, zostawiłyśmy naszą torbę w hotelu i poszłyśmy szukać Polaków. Znalazłyśmy Amerykanów, trochę po polsku, po rosyjsku, po francusku dogadałyśmy się z nimi. Jeden mówi:

— Moja babcia Polak.

Wzięli nas na łazik i zawieźli — to była niedziela, 24 sierpnia 1944 roku — do konsulatu [polskiego]. Widzimy — ładna willa w ogrodzie, schody, na tarasie państwo jedzą obiad, Pers na biało ubrany elegancko obsługuje. No ale myśmy po Rosji tak troszkę inaczej wyglądały, jak normalni ludzie. Wychodzi pan — mnie się zdaje, że on był zastępcą konsula, nie pamiętam nazwiska — a myśmy nadały telegram przedtem, jeszcze z granicy rosyjskiej, że przyjeżdżamy, żeby nas spotkali gdzieś po drodze. Więc mówimy temu panu, że przyjechaliśmy z Rosji, że przysłałyśmy telegram.

— Aa, coś tam było, ale dzisiaj jest niedziela, pan konsul wyjechał w góry, proszę się zgłosić jutro.

W Rosji załatwiałam ja, a już między Polakami — ciotka. Ciotka mówi do niego, że to, to, to...

— No tak, to niech panie przyjdą jutro o dziewiątej.

A mnie już diabli wzięli, mówię:

— No to sobie siadźmy na schodkach.

I odwróciłam się od niego, siadłam na schodkach:

— Poczekamy do jutra.

Koło niego stoi Pers, szofer. On mówi:

— To ja te panie zawiozę do obozu.

— A to niech się pan zajmie.

Pers mówił po polsku. Wziął nas do samochodu, pojechał z nami do hotelu, zapłacił (bo nasz bagaż już tam był), wziął nas do restauracji, zawiózł nas do obozu i przyniósł wszystko aż do namiotu. Takie było przyjęcie u Polaków.

Po dwóch czy trzech dniach strasznie się rozchorowałam, gorączka nieprzytomna, z miejsca mnie do szpitala wzięli — jak z Rosji, to musi być tyfus albo malaria... A ja spałam 72 godziny, obudziłam się — wszystko w porządku. Po prostu reakcja nerwowa. Byłam kłębkim nerwów przez ten cały czas, jak odprężenie przyszło, to ja się wyspałam i w porządku.

Po jakimś czasie zgłosiłam się do wojska, ciotka wstąpiła do Czerwonego Krzyża.

Pyt: Czy był moment, kiedy Pani zdecydowała, że nie wraca Pani do Polski.

Nie było dokąd [wracać] — ja pochodzę ze Lwowa. Ciotka wróciła, miała starszą córkę. A ja, czy ja wiem — koleżanki, koledzy, wszystko rzucić i wracać znowu w nieznaną? Miałam już prawie 19 lat czy 20, już nie bardzo się...

Pyt: W PRL — u absolutnie nikogo Pani nie miała bliskiego?

Ciotkę, wujka i ich córkę. Ale co innego, gdy dziewczęta wracały do rodziców — ja już byłam niezależna, już się zostało razem, nie było gdzie wracać, naprawdę nie

było. Dopiero z tej Rosji wyjechałam i z powrotem na to samo, jak tam Rosjanie? Gdyby do rodziców, to co innego, ale tak?

Przecież kto wracał, to nam się wydawało, że... Starsi ludzie jeszcze, ale młodzi? Znowu skończyć w Rosji?

Pyt: Ale byli ludzie, którzy wracali?

Wrócili, ale kto wrócił? Młody człowiek, została owdowiała matka, ojciec zginął — tacy wracali. Ale nikt nie wrócił, żeby Polskę budować czy coś, bo wiedzieliśmy, że to jest niemożliwe.

I rzeczywiście, koresponduję z koleżankami [które wróciły], jedna jest profesorka na uniwersytecie w Rzeszowie: wróciła, dalej studiowała, ona była z AK. Mam taki list, gdzie koleżanka pisze: „Wróciliśmy tylko dlatego, że jego matka żyła, staruszka”. Później ona [matka] w dość krótkim czasie zmarła i zostali.

Pyt: A tu życie czy było piękne?

Tu życie było bardzo ciężkie. Na początku byliśmy w tzw. obozie rozsiadlenia, stamtąd [pracodawcy] powoli brali ludzi do fabryk, ludzie urządzali się, młodzi chłopcy z Angielkami zaczęli chodzić, dobrze im było. Mieszkanie każdy musiał sobie znaleźć — pokój gdzieś przy rodzinie. Nikt nam nic nie dawał. Oszczędzaliśmy, pracowaliśmy, i tak to...

* * *

spisała Barbara Gleb